

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

20

— Ale ja nie jestem Adwentowiczem i pewnie nie będę tak szczęśliwy...

— No, niechże pan zadekamuje, kiedy proszę... — przymilała się Józia, spoglądając Łuniewskiemu słodko w oczy.

Wytrzymał jej spojrzenie. Nie drgnął mu nawet muszkuł na twarzy.

— Kiedy mi nic nie przychodzi na myśl...

— Bługuje pan!...

— A nie będzie się pani gniewała, cokolwiek powiem?

— Nie.

— Więc przypomniałem sobie jeden stary wierszyk, ale powiem tylko pierwszą zwrotkę...

— Dlaczego tylko pierwszą?

— Bo tak...

— O! Jaki pan przekorny, a miał pan już nigdy nie być niedobry!... No, proszę już deklamować...

Łuniewski zdjął kapelusz, przegarnął palcami swoje gęste, ciemno-blond włosy i z lekkim uśmiechem na ustach, wyrecytował:

"Przy warkoczku kwiat z ogródka,
Sukieneczka w modre paski,
Jestem sobie bałamutka,
Bałamutka z Bożej łaski!"...

— No, a co dalej?

— Dalej nic ciekawego.

— Aha! To niby miało być do mnie! — roześmiała się i spojrzała na swoją sukienkę — ale te paski, to już nie są modre, bo zupełnie wypłowały... A bałamutką, to ja tam byłam kiedyś, ale teraz, to już nie jestem. O! Wcale nie...

— Ani trochę?...

— No tak, może odrobinę, odrobineczkę czasem, ale to tylko przez swawolę...

I jakby już zupełnie zapominając o niedawnych łzach i rozdrażnieniu, zanuciła:

"On mnie pytał, co ja wolę,
Czy łyż jego, czy z nim żyć,
Jam mu rzekła przez swawolę:
Z dwojga złego wolę nic!"...

— Wie pani, jaki mi teraz, patrząc na panią i słuchając pani, przyszedł wiersz do głowy?

— No?...

— Dwuwiersz Jana Kochanowskiego: „Gdziekolwiek stąpi, wdzięczność ją sprawuje i wszędy niewidoma za nią postępuje”...

Nastąpiła między nimi znowu cisza, ale nie kłopotliwa... Miła jakaś, pełna milczącego porozumienia.

Józia rzuciła mu znowu jedno ze swoich słodkich spojrzeń.

— Dziękuję za komplement... bo bardzo, bardzo ładny...

Powietrze ochłodziło się. Zerwał się wiatr z początku lekki, potem coraz silniejszy.

Na niebie białe chmurki zbijały się w gęste białe chmury i ciemniały.

Duszo było, parno, jak zwykle przed burzą.

— Ta kobieta miała rację — powiedziała Józia — będzie deszcz, a może i burza... Spieszmy się...

— Już dochodzimy do wsi...

Wyraźnie biała już szeroka droga gościńca, ujęta z obu stron w ramy gęsto rozsypanych chat i zabudowań gospodarskich.

Sczerniały, słomiane poszycia mieszały się z jaskrawą czerwienią dachówki, którą były kryte nowsze domy.

Niektóre budynki świeciły białością drzewa, jeszcze nie pobielonego. Tu i ówdzie widniały czarne, smutne zgłiszczki, tu i ówdzie z osmalonych gruzów posępnie spoglądał ku niebu komin, z którego dym nie uchodził.

Były to niezatarte jeszcze ślady wojny, która przeszła tędy. Były, jak niezabliźnione rany na żywym, zdrowym, tętniącym ciele...

Na horyzoncie ciemniały pas lasów, które zdawały wydawały się granatowe.

Józia wskazała ręką w kierunku tych lasów, zamykających krajobraz.

— Jakże te oczy nasze niedołężne — powiedziała — nie mogą zobaczyć, co się tam dzieje za lasem...

— Proszę pani, nie warto dzisiaj wzroku

i myśli posłać daleko... Bo co się zobaczy?... Krew, mord i gruzy...

— Prawda... — szepnęła — a jednak ja bym chciała mieć wzrok, co sięga daleko i poza ten las i skrzydła...

— I gdzieżby pani leciała?... Pewnie do jakiegoś cudnego kraju z bajki, gdzie dużo słońca i kwiatów i gdzie niema wojny... Czy tak, pani Józio?...

Uśmiechnęła się łagodnie i przecząco potrząsnęła głową:

— O! Nie, tak znów daleko nie biegną moje marzenia... Pyta się pan, gdziebym lecieć chciała?

Milczała przez chwilę, a marzycielski uśmiech błędził po jej ustach.

I jakby odpowiadając na pytanie, zanuciła smętną, ludową melodię:

"Gdybym ci ja miała
Skrzydółka, jak gaska,
Poleciałaby ja
Za jaśkiem do Śląska.

Usiadłabym ci ja
Na śląskowskim płocie...
Przypatrz się, jasieńku,
Ubogiej sierocie"...

Urwała i zapatrzyła się przed siebie.

— Szczerze mówiąc — zaczęła po chwili — to leciałabym na skrzydłach tam, gdzie jest Konrad...

Rumieniec nagły, krwisty, zabarwił twarz Łuniewskiego.

— To istotnie marzenia pani nie biegną daleko, bo tylko do jakiejś miejsciny węgierskiej — powiedział tonem, który przypominał trochę warknięcie podrażnionego psa.

— A jednak jakże trudne są, a nawet niepodobne do urzeczywistnienia...

— Dlaczego?... Poproś wsiąść do pociągu i jechać...

Wypowiedział tę radę z jakąś zatwardziałą złością, ale jednocześnie poczuł, że lodowaty chłód rozlewa mu się po żyłach na myśl, iż ona rzeczywiście mogłaby wsiąść do pociągu i odjechać.

Józia spojrzała na niego na pół smutnie, na pół z zabawną frasobliwością.

— A paszport gdzie?... I pieniądze?...

— No i pozwolenie od mamy... — dorzucił złośliwie.

— A tak, i to także. — przyznała prosto — A! To i mamy gościć, tylko trzeba przejść potok, a jak widzę, jest tu ten mostek, „co go niema”...

— Przeniosę panią. — zaproponował.

— Także coś!... Woda płytka, a niby to nie umiem po kamieniach skakać!... Lepiej niech pan na swoje amerykańki uważa!...

Cisnąć kwiaty jedną ręką do piersi, jęła lekko i zwinnie przesłakiwać po kamieniach.

Uchwyciwszy się wolną ręką za zwieszającą się nad wodą gałąź, w jednej chwili wdrapała się na niewysoki, ale stromy brzeg.

Kiedy znalazła się już na górze, z uśmiechem przyglądała się, jak Łuniewski dość niezgrabnie balansuje po ostrych kamkach.

— Aha — zawołała przekornie — mnie pan chciał przenosić, a ledwie samego siebie pan przeniesie!...

Tak go poirytowała ta jej uwaga, że jednym susem przesadził całą dzielącą ich przestrzeń.

Gałąź zerwała mu z głowy kapelusz, który byłby spadł do wody, gdyby go młody człowiek w porę nie uchwycił.

Józia zanosila się od śmiechu.

— A to się pan rozpędził! Już myślałam, że się pan wykopyrtnie do wody!...

— I cieszyła się pani z góry, co?...

— E! Cóżbym się miała znowu cieszyć, ale, co prawda, to byłby paradny widok!... Taki elegancki pan do góry nogami w rowiel!...

Sam musiał się roześmiać, porwany jej swawolną miną.

— Co też za dzieciak z pan!...

— O! Nie... Wcale nie jestem już dzieckiem! Wcale!... — energicznie potrząsnęła głową, tak, że aż jej niesforne, naturalnie wijące się loczki fruwały koło twarzy.

— Naturalnie, taka poważna, stateczna, doświadczona osoba... — przekomarzał się Julian.

— E! Co pan wie... — ciemne brwi Józii ściągnęły się w ten sposób, że cała twarz nabrała wyrazu chmurnego zasepienia.

Znać było po niej w tej chwili, że te jasne oczy muszały już nierzadko spoglądać w ciemne otchłanie życia.

Krótko to jednak trwało. Józia uśmiechnęła się zaraz słodko, dziecięco i prześlicznie ruchem przytuliła policzki oo trzymany w ręku niezapominając...

— Moje gwiazdeczki błękitne... takie śliczne

— Wygląda pani, jak ich siostra...

Nie odpowiedziała mu nic. Zdawało się, że nawet nie dosłyszała.

— Co się jej teraz po głowie roi?... — pomyślał — To tylko pewne, że ona tej słoneczności swojej nie zaczerpnęła z warunków życia... To w niej samej jest jakieś przedziwne źródło jasności... Co jej się teraz roi?... Pewnie myśli o tem, kiedy wróci mąż. — zadrwił złośliwy dyablik w mózgu Łuniewskiego.

Józia podniosła głowę z nad kwiatów i spojrziała na niebo. Gromadziło się coraz więcej czarno-rudawych chmur.

— Chodźmy już, chodźmy prędko — powiedziała — bo gotów nas rzeczywiście złapać w drodze deszcz...

— Jeszcze nie będzie tak zaraz deszczu... Nie mamy się czego spieszyć... Napijemy się naprzód kwaśnego mleka... Mnie się chce strasznie pić, a pani pewnie także...

Józia rzeczywiście miała ochotę napić się chłodnego mleka, bo gardło jej wyschło od upału.

Zatrwożyła ją jednak możliwość spóźnienia.

— Ale to się późno zrobi.

— Już się pani zaczyna bać świekry... E! Pani Józio, wstyd doprawdy!... Trochę więcej energii!

— Łatwo to panu mówić...

— Idziemy na mleko, proszę pani.

— Nie, nie...

Przypomniała sobie, że nie ma wcale pieniędzy.

— Dlaczego pani nie chce?... Ja pani po twarzy zgaduję, że pani pochleptałaby sobie chętnie mleczka, jak kotek...

— Kiedy nie mogę.

— Ależ dlaczego?

— No, bo nie mogę.

Domyślił się nagle, o co jej chodzi.

— Aha! Pani nie wzięła ze sobą woreczka z pieniędzmi... Ależ to przecie drobnostka... Odda mi pani przy sposobności. — zapewniał, chcąc pokonać jej wzdraganie.

— Widzi pani, o! Jaka tu ładna, czyściutko bielona chata z ogródkiem... Napewno musi w niej mieszkać gościnną gospodynią... Wstąpmy.

Józia wahającą przez chwilę spoglądała na czysto wymyte okna chaty i równiutkie grządki pod oknami.

Złoty pies, uwiązany na łańcuchu, zaczął szczekać.

— Ano, to wstąpmy...

Pies ujadł coraz zawzięciej, ale Józia śmiało podbiegła ku niemu i zaczęła głaskać skudłaczony łeb zwierzęcia...

Pies, jakby przejeżdżany tą pieszczotą, ucichł, wspiął się na łapy i liźnął językiem ręce młodej kobiety.

— Co pani robi? Toż to jest zły, łańcuchowy kundel!...

— Ja się nie boję. Bardzo miła ciućka.

Tymczasem, zwabiona szczekaniem psa, wyrwała z chaty gospodyni. Kobieta sucha, drobna, zwiędła — ale o ruchach dziwnie sprężystych. W twarzy, niestarej jeszcze, ale już pokreślonej sieciami zmarszczek zwracały uwagę oczy bystro patrzące i tak modre, jak bławki w zbożu.

— Ale to panienska śmiała do psa. — odezwiała się — A mój Milek to na obcego człowieka zawzięty...

— Mnie nie ugryzie... O! Widzicie, gosposiu, jak się łąsi. Milek, Miluś, dobry pies, dobry!...

— Musi czuć dobrego czleka...

Kobieta spojrzała na Józję życzliwie. Snać to łagodne zachowanie się psa napawało ją zaufaniem.

— Moja gosposiu — rzekł Łuniewski — nie dostalibyśmy u was, ja i moja siostra, kwaśnego mleka?...

— Czemu nie? Jest mleko. To panienska panowa siostra?

— A tak. — i Łuniewski spojrzał porozumiewawczo na Józję.

— Wynieść tu państwu może przed chałupę...

Ale, widzi mi się, będzie składniej wejść do izby, bo burza idzie i to sielno...

Nie skończyła jeszcze, kiedy już błyskawica błękitnem światłem rozdarła czarne chmury.

Wiatr zadął silniej, a jednocześnie zaczęły spadać pierwsze grube krople deszczu.